

GORZOWSKI MAGAZYN FANTASTYCZNY

NUMER 2(6)/2020

ISSN 2657-5280

Landsberg



Baśniowe fantastycznego początku Wstępniak naczelnego

Fantastyka towarzyszy nam od zarania ludzkich dziejów, przybierając różne formy. Opowieści o magicznych stworzeniach, niezwykłych wydarzeniach czy herosach z nadludzkimi mocami, były z nami od zawsze. Najpierw jako mity, potem – legendy i baśnie, a dzisiaj jako *fantasy*, *science-fiction* i *horror*. W szóstym numerze *LandsbergONu* postanowiliśmy wrócić do korzeni i uraczyć Państwa historiami nawiązującymi do baśni, mitów i legend.

Trzeba pamiętać, że baśnie czy legendy – w formie, w jakiej je znamy – nie były początkowo historiami dla dzieci. Pierwotnie nie istniała bowiem odrębna gałąź literatury przeznaczona wyłącznie dla najmłodszych. Dopiero wiktoriańskie przekonanie o czystości i świętości dzieciństwa wymogło na literaturze dla dzieci, by stała się bardziej, no cóż, czysta i „świętoszkowata”. Opowieści Braci Grimm zostały pierwotnie wydane z myślą o dorosłych, ale kiedy autorzy zorientowali się, że książka trafiła do pokoi dziecięcych, poddali je stosownemu uładowaniu i cenzurze.

Śpiąca królewna (pierwotnie autorstwa Charlesa Perraulta) to w istocie historia gwałtu. We wczesnej wersji bajki, książę, który jest już żonaty z inną, posiadał śpiącą królewnę, a ta urodziła mu kilkoro dzieci jeszcze przed przebudzeniem. Najstarsze pisane wersje *Czerwonego Kapturka* również miałyby dziś na okładce ostrzeżenie „tylko dla dorosłych”, gdyż wilk zjada w nich babcię, częstując jej krwią niczego nieświadomą wnuczkę.

Pewnie mało kto pamięta też o tym, że w 1963 r. niemiecki dziennikarz Hans Traxler opublikował książkę *Prawda o Jasiu i Małgosi* (*Die Wahrheit über Hänsel und Gretel*). Opisał w niej badania Georga

Ossegga, archeologa amatora, który postanowił dowieść, że baśń ta ma oparcie w rzeczywistych wydarzeniach. Ze szczegółowej relacji dokumentującej jego żmudne badania wynikało, że historia z Babą Jagą w roli głównej wydarzyła się naprawdę w 1647 r., kiedy to pewna kobieta (Katharina Schraderin), mieszkająca samotnie w lesie, została zamordowana przez rodzeństwo piekarzy Hansa i Gretel Metzlerów. Młodzi mordercy chcieli zdobyć przepis na słynny piernik, a jako że Katharina nie chciała im go podać, zabili ją, a ciało spalili w jednym z pieców, by ukryć dowody. Gdy zbrodnia wyszła na jaw, Hans i Gretel opowiedzieli sędziemu o tym, że zabili i spalili kobietę, by się chronić, gdyż ona sama mordowała ludzi w swojej chatce, oddając się czarnej magii i praktykom ludożerczym. Sędzia dał wiarę rodzeństwu, a z ich historii powstała znana wszystkim baśń ze straszliwą Babą Jagą oraz rezolutnym Jasiem i jego siostrą Małgosią.

Georg Ossegg, pierwszy na świecie „archeolog baśni”, odkrył prawdę o Jasiu i Małgosi, analizując znaną historię i prowadząc badania terenowe. Znalazł las, w którym odbywała się baśniowa historia, a odtwarzając drogę rodzeństwa, trafił na ruiny „piernikowej chatki”. Odnalazł również nadpalone kości kobiety, a w końcu także ukryty w murze przepis na pierniki. Zebrane w okolicy resztki wypieków poddano badaniu radiologicznemu, które potwierdziło datowanie odkrycia. Nikogo nie zdziwił fakt, że archeolog amator odnalazł ścieżkę do chaty, idąc za śladem kamiaków, które rzucało za siebie rodzeństwo w baśni, będącej literackim zniekształceniem prawdziwej historii sprzed

300 lat, w której o żadnych kamykach nie było mowy...

Osseg tak naprawdę nigdy nie istniał, cała książka była żartem, a Traxler oszukał pół Europy, zanim kłamstwo wyszło na jaw. Świetnie pokazał jednak, że ze starych baśni nadal można wycisnąć ciekawą historię dla dorosłych. Materiał ten posłużył również jako kanwa tegorocznego horroru *Małgosia i Jaś Oza* Perkinsa. Antyczne mity stanowią także podstawę rewolucyjnego, genialnego cyklu komikсового Neila Gaimana pt. *Sandman*. Znowu rzecz wyłącznie dla dorosłego czytelnika. Jesteśmy przekonani w redakcji *LandsbergONu*, że te historie oraz starożytnie mity i dawne legendy mogą stać się inspiracją dla nowych historii fantastycznych. Czy poprzez nawiązanie do ich bohaterów i legendarnych istot, czy baśniową stylistykę. Mamy więc dla Państwa w tym zeszycie baśnie w nowym wydaniu. Nowe mity i legendy. Zdecydowanie nie dla dzieci.

Zastanawialiście się kiedyś, co by było gdyby baśniowe postacie ożyły? W taki świat wprowadzi was Paweł Karolczuk w swoim opowiadaniu *Pewnego razu...* Grozą napawa konstatacja, że większość baśniowych bohaterów to zwykli ludzie, którzy wystąpili przeciwko potężnym nadnaturalnym siłom. I gdy brakuje literackiego narratora, jak w naszym realnym świecie, z tego starcia nie muszą wcale wychodzić zwycięsko. Taka dekonstrukcja mitu w fascynujący sposób prowadzi do multiplikacji światów, które wzajemnie oddziałują na siebie, stwarzając dla nas iluzję przebywania w „prawdziwym” świecie opowieści. Jeśli z fikcyjnego świata baśni przenosimy baśniową postać do „prawdziwego” świata, w którym toczy się opowiadanie, to w jakim świecie żyjemy my sami?

W opowiadaniu *Pegazy* spotkacie się natomiast ze światem, w którym mityczne istoty zostaną sprowadzone do roli, jaką pełnią ich mniej magiczne odpowiedniki.

Biorąc pod uwagę, że w świecie baśni i legend mamy do czynienia z antropomorfizacją rzeczy i zwierząt – które mają bardzo bogate życie wewnętrzne, potrafią mówić i odbywają swoje niesamowite przygody – pojawia się pytanie, jak „używać” tych przedmiotów i nieludzkich istot?

Jak mówiła w swoim wykładzie noblowskim, przedrukowanym w *Czułym narratorze*, Olga Tokarczuk: „Będąc dzieckiem, słuchałam baśni z wypiekami na twarzy i ze łzami w oczach, bo wierzyłam głęboko, że przedmioty mają swoje problemy, uczucia i nawet jakieś życie społeczne, całkiem porównywalne z naszym, ludzkim. Talerze w kredensie mogły ze sobą rozmawiać, sztuce w szufladzie stanowiły coś w rodzaju rodziny. Podobnie zwierzęta były tajemniczymi, mądrymi i samoświadomymi istotami, z którymi łączyły nas od zawsze duchowa więź i głębokie podobieństwo. (...) Żywy były też krajobraz, który nas otaczał, i Słońce, i Księżyc, i wszystkie ciała niebieskie. Cały widzialny i niewidzialny świat. Kiedy zaczęłam w to wątpić?”. Gdy zaczynamy w to wątpić nie mamy żadnego problemu z „używaniem” zwierząt i przedmiotów. Zastanawiające jest, jak dzieci, które wychowują się na pełnych antropomorfizacji opowieściach, potrafią później sprowadzać naturę, przyrodę i zwierzęta jedynie do roli „rzeczy”, których można „używać”, tak jak podoba się to człowiekowi. Jak po tych wszystkich baśniach, mitach i bajkach Disneya, pełnych gadających przedmiotów i zwierząt, mogliśmy, pytając za Tokarczuk, „zacząć w to wątpić”?

Jerzy Gałpi, kolejny debiutant w *LandsbergONie*, zaprasza was swoim opowiadaniem w świat pałacowych intryg: groteskowych, wyolbrzymionych i pełnych czarnego humoru. Czyż byłyby legendy, mity i baśnie bez królów, książąt, pięknych księżniczek i walk o tron? Jeśli zaś ktoś zapyta, dlaczego ten tekst publikujemy w piśmie o fantastyce, to

odsylam do pojęcia *low fantasy*, czyli podgatunku fantastyki, cechującego się realizmem zbliżonym do świata rzeczywistego, w którym środki literackie charakterystyczne dla światów *fantasy* są bardzo zmarginalizowane i zazwyczaj brak jest fikcyjnych ras, elfów i krasnoludów, a magia jest jedynie zjawiskiem incydentalnym. Bohaterowie nie mają żadnych nadnaturalnych zdolności, lecz są zwykłymi ludźmi odznaczającymi się jedynie szczególnymi cechami charakteru. Nie jest to opowieść historyczna, gdyż nie znajdziemy tutaj odniesień do żadnej znanej nam królewskiej dynastii czy wydarzeń znanych z naszego świata. Mamy natomiast mnóstwo groteski, w których śmierć służy za puentę i przykład, a politycy śpiewają *ad hoc* na cześć swojego władcy. Mamy tutaj pełnoprawną fikcję *low fantasy*.

W tym baśniowym numerze znajdziecie również coś, na co wielu naszych czytelników czekało, czyli kolejny odcinek *Opowieści o gorzowskiej Wandzie*. Gdy *Wanda* pojawiła się w *LandsbergON*ie po raz pierwszy w 2018 r., spotkała się z bardzo ciepłym przyjęciem i ogromnym zainteresowaniem. Wszystko dzięki wartkiej akcji, lekkiemu pióru i dosadnemu językowi. Kuba Łukasik, debiutując w naszym magazynie, postawił samemu sobie wysoko poprzeczkę, którą musiał pokonywać w kolejnych odcinkach. Z racji tego, że tematem bieżącego numeru są baśnie i legendy, stwierdziliśmy, że to świetny moment na kolejną część historii o legendarnej Wandzie, która nie chciała Niemca, a teraz powróciła pod postacią demonicznej syreny, przebywającej w gorzowskich kanałach i zabijającej wszystkich o niemieckobrzmiących nazwiskach. Zobaczcie, czy Łukasik nadal jest ponad poprzeczką. Poprzednie części *Wandy* znajdziecie w numerze 2/2018 oraz 2(4)/2019 na stronielandsbergon.pl. Życzę Państwu fantastycznej lektury.

P.S. W poprzednim numerze *LandsbergON*u, w swoim wstępie, w

wspominałem o tym, że błędem jest angażowanie fantastycznych opowiadań w bieżące wojenki światopoglądowe i walki polityczne. Pisałem o tym, że polska fantastyka jest prawicowa i o prawicowym odchyleniu redakcji największego pisma fantastycznego w kraju, *Nowej Fantastyki*. Niecały miesiąc po publikacji tego tekstu wybuchła afera, gdyż *NF* opublikował opowiadanie Jacka Komudy o polowaniach z nagonką na homoseksualistów porywających dzieci dla pedofili. *W Dalian, będziesz ćwiartowany!* dostało się też niemoralnemu zachodowi, promującemu aborcję i eutanazję. Tekst polityczny, ubrany w fantastyczne szaty. Rzadko to mówię, ale „a nie mówiłem” samo ciśnie się na klawiaturę. Redakcja *NF* za ten tekst przeprosiła, ale zamiast skupić się teraz na wydawaniu po prostu dobrej, nieupolitycznionej fantastyki, postanowiła iść dalej, czyli wydać cały kolejny numer, którego autorami będą osoby ze środowiska LGBT. Nie wiem, jakie znaczenie dla opowieści fantastycznej ma orientacja autora (przy całej mojej sympatii i poparciu dla postulatów społecznych osób nieheteronormatywnych uważam, że żadne), ale dalsze angażowanie się w bieżące światopoglądowe spory nie jest receptą na wyjście z kryzysu spowodowanego grzebaniem się w politykę, co pozostawiam redakcji *NF* ku refleksji.

Mariusz Sobkowiak
redaktor naczelny



Fot. A. Sobkowiak i M. Kowalczyk



Piotr Rossa ps. Rosikowski

Absolwent ISP w Zielonej Górze na kierunku: grafika edytorska. Koniec końców nie zajmuję się grafiką DTP, ale concept artem. Patrząc z perspektywy czasu, jestem wdzięczny mojemu ojcu, że zabraniał mi siedzieć przy komputerze, ponieważ, nie mając co robić, rysowałem non stop od dziecka. Przeżyło się to na dorosłe życie i teraz rysuję, modeluję w 3D, foto-manipuluję, używam prawie każdego dostępnego komputerowego narzędzia do tworzenia szeroko pojętej sztuki cyfrowej (dobrze, że żona już pozwala mi siedzieć przy komputerze). Po pięciu latach pracy dla najróżniejszych małych film, robiących planszówki i niezależne gry komputerowe, znalazłem swoje miejsce w jerozolimskiej firmie Suncrush. Kończymy właśnie RTS-a. W Gorzowie się urodziłem, wychowałem i poznałem żonę.

Pewnego razu...

– Przypomnij mi raz jeszcze, Dacjanie – westchnął znudzony młody chłopak, zaglądając w głąb kolejnego rumowiska – co my tu robimy? Niczego tu nie ma prócz śmieci po tamtej cywilizacji! Kopnął starą puszkę, a ta, przeleciawszy nad głową Dacjana, odbiła się od zrujnowanej ściany i zniknęła pomiędzy innymi śmieciami z zapomnianych lat. Starszy mężczyzna pracujący na kolanach wyrzał zza zniszczonej ściany. Jego krzaczaste, siwe brwi ściągnęły się w grymasie niezadowolenia, a poprzecinana bliznami i zmarszczkami twarz nabrała purpurowego odcienia – chłopak nie wiedział, czy z wysiłku, czy złości.

– Na Wielkiego Bajarza! – zaczął starzec, a młody już wiedział, że czeka go kolejny monolog – Jarmir, ile razy mam ci powtarzać? – spojrzał stalowo-szarymi oczami na postać chudego, patykowatego młodzieńca, na twarzy którego trądzik walczył o miejsce z lichym zarostem. – Naszym zadaniem, zadaniem moli książkowych, jest przeszukiwanie dawnych miast w nadziei, że znajdziemy w nich pozostałości po Erze Książ. Dzięki nim enklawa jest chroniona przed antagonistami.

Podniósł się ciężko z kolan, wyprostował plecy, aż chrupnęło. Podrapał się po siwej, zapuszczonej brodzie i rozejrzał uważnie.

– Nic tu nie ma. Idziemy dalej – mruknął i ruszył przez ruiny. Chłopak odetchnął z ulgą, że ominął go nudny wywód starego mola.

Słońce stało wysoko nad miastem – tym, co z niego pozostało. Kikuty wieżowców zaczęły przegrywać walkę z zielenią. Drzewa wiły się wokół szkieleatów budynków niczym węże oplątujące swoją zdobycz. Szklane domy, teraz skruszone, smętnie oddawały pola

roślinności. Po dawnej cywilizacji zostały tylko wspomnienia.

Jarmir szybko dogonił starego Dacjana i kontynuował swoje narzekanie:

– W tym rzecz! Nigdzie, nigdy niczego nie ma! Łazimy po tym mieście już drugi rozdział!

Odkąd świat upadł, a wraz z nim technologia i wiedza o niej, Wielki Bajarz dzielił upływający czas na wypowiedziane słowa, zdania, strony czy rozdziały, recytując święte bajki.

– Co nie umniejsza naszej roli – odrzekł dumnie Dacjan. – Wielki Bajarz zlecił nam to święte zadanie, bo wierzy, że na świecie przechowały się jeszcze księgi z dawnych wieków.

– No, ale od dawna nikt nie widział antagonistów. Może wrócili do swych światów?

Dacjan spojrzał na młodzieńca, lecz nic nie powiedział. Bardzo chciał, by było to prawdą. Wtedy ludzie mogliby wrócić do zapomnianego świata i spróbować go odbudować. Pokiwał tylko głową ze zrezygnowaniem.

– Nie bądź naiwny, Jarmirze. Oni tam są i czekają, aż moc Bajarza osłabnie. Tak się stało z enklawą Kopciuszka. Bajka przestała być recytowana i Zła Macocha od razu wtargnęła do środka wraz ze swymi córkami i wyrznęli wszystkich w pień. To samo spotkało enklawę Czerwonego Kapturka – Zły Wilk nie zostawił nikogo przy życiu.

Chłopak zamilkł. Słyszał już tę historię.

– Czego oni od nas chcą? – zapytał po chwili cicho.

Szli w milczeniu przez pewien czas, przedzierając się przez kolejne zwąty gruzów, wraków szybkolotów, powietrznych mostów. Wszystko upadło, rozbijając siebie i ludzkość na szczątki.

– Kiedy byłem małym chłopcem – zaczął starszy mężczyzna, sięgając pamięcią do dawnych lat – słuchałem opowieści mojego pradziada. Opowiadał, jak jego ojciec zabrał go kiedyś do pewnego miejsca, zwanego muzeum, w którym znajdowała się ostatnia papierowa księga. W niej kryła się ta uncja mocy, która trzymała antagonistów w ich światach. Kiedy zawód Bajarzy został zastąpiony przez maszyny generujące losowo opowieści, magia przysła i bariera została zniszczona. Więzieni przez stulecia antagoniści, pełni rozgoryczenia i gniewu, że to właśnie oni zawsze ponosili klęskę, wypowiedzieli wojnę tamtemu światu. Na nic zdały się technologie, broń czy sztuczni ludzie. W miejsce zabitego złoczyńcy pojawiał się kolejny, potężniejszy. Smok Wawelski spopielił całe narody. Królowa Śniegu zamieniła kraje w lodowe pustkowia, a Wiatr Północny zmiotł z powierzchni ziemi setki miast.

– No a co z tymi dobrymi?

Starzec prychnął.

– Dobrymi? Chowają się gdzieś po norach. Na nich nie ma co liczyć! – Dacjan machnął ręką ze złością, jakby odganiał natrętne muchy. – Ich magia miała tylko moc w opowieściach, tutaj są zwykłymi śmiertelnikami, jak my wszyscy.

– Skoro antagoniści są tak potężni, to dlaczego jeszcze żyjemy?

– Ha! Bo się przeliczyli, skurczybyki jedne! – Szeroki uśmiech wystąpił na ustach starego mola, ukazując pożółkłe, acz zdrowe zęby. – Pomimo, że na świecie zabrakło pisarzy, nie zabrakło ludzi obdarzonych wyobraźnią. To właśnie oni dojrzeli w Bajaniu moc trzymania antagonistów z dala. Pierwsi Bajarze zaczęli na nowo tworzyć bajki, lecz ich moc okazała się ograniczona. Po utracie umiejętności pisania, nie potrafimy zamknąć antagonistów na powrót w ich światach.

– Skąd to wszystko wiesz? – zainteresował się pełen podziwu chłopak.

– Też byś wiedział, młokosie, gdybyś uważał na zajęciach! Mole książkowe to

przywilej, a ty go lekceważyłeś! – Uniósł się starzec.

– Więc tego szukamy właśnie? – chłopak szybko zmienił temat. – Tej księgi, o której mówił twój pradziad? I ona może nam wygrać?

– Nie bądź niemądry, chłopcze. Ta księga to mit. Nie mogłaby przetrwać tyle... – przerwał mu łoskot dochodzący gdzieś spod ziemi. Najpierw usłyszeli zgrzyt, następnie odgłos tłuczonego szkła. Dacjan zdążył jeszcze spojrzeć na pełne zdziwienia oblicze Jarmira, zanim ten zniknął w wyłomie. Skoczył ku chłopakowi, lecz wiedział, że nie zdąży.

– Jarmir! – krzyknął w czerni otchłani, pochylając się i próbując przebić ciemność wzrokiem.

Nic. Cisza przzerwana echem spadających odłamków. Rozejrzał się nerwowo i dostrzegł nieopodal wrak dostawczego szybkolotu. Podbiegł na tyle prędko, na ile pozwalały mu stare kości, mocno przywiązał sznur do wystających części wraku, wyglądających wystarczająco solidnie, wrócił do wyłomu, po czym, przerzuciwszy przez krawędź drugi koniec liny i ostatni raz zerknąwszy na światło dnia, zaczął opuszczać się w mrok.

Nie wiedział, jak długo był nieprzytomny. Tępy ból zawzięcie chciał wy dostać się z jego głowy łomotaniem w skroniach. Zakaszał raz i drugi, a następnie próbował się podnieść. Z trudem dźwignął się na obolałe nogi, by ze zdziwieniem zda sobie sprawę, że nic mu nie jest.

Jarmir rozejrzał się, próbując dostrzec coś w ciemności i ustalić, gdzie się znajduje i jak mógłby wrócić na powierzchnię. Od razu usłyszał w głowie zrzędczący głos Dacjana, który upomina go, aby uważał na zajęciach z umiejętności przetrwania. Po omacku, trzymając się czegoś, co wzięt za ścianę, poszedł w wybranym na chybił trafił kierunku.

Wszystko, aby nie stać beczynnym.

Podróż nie trwała długo. Ciemność najpierw ustąpiła szarości, w której dojrzał, że znajduje się w jakimś tunelu, ciągnącym się wzdłuż grubej rury, takiej, jaka w enklawie dostarcza im wody. Wkrótce potem szarość ustąpiła miejsca oślepiającemu blaskowi, który czekał na niego u wyjścia.

Chłopak przyłożył rękę do oczu i zrobiwszy jeszcze jeden krok, znalazł się w przestronnej komnacie, pełnej potłuczonego szkła, zapewne z kopuły wysoko w górze, przez którą wpadało światło słońca.

Rura w tym miejscu wyglądała, jakby potężna siła ją najpierw wygięła, a potem wyrwała, zostawiając kikut, z którego sączyła się woda, tworząc w dole mały staw. Na środku pomieszczenia wyrastała z gruzowiska potężna roślina, która pięła się wysoko w górę ponad sklepienie. Gruba łodyga, przy samej ziemi zdrewniała, była grubości największego silosa, a liście wielkości największych namiotów mieszkalnych, wyrastały co kilka metrów, tworząc naturalną drabinę.

Uwagę Jarmira przykuło jednak coś innego. Doskonale wiedział, co to było, mimo że nigdy wcześniej nie widział tego na własne oczy. Przy pniu, na specjalnym stojaku, znajdowała się za szkłem...

– Księga – Wyszeptał chłopak z trwożą. Jak w transie ruszył w jej kierunku, lecz stanął jak wryty, kiedy ogłuszył go ryczący głos.

– Fe, fi, fo, fum! Człeka krew znów czuję tu!

Wielki Bazar enklawy Studni Czarownic, Jeremiasz, siedział nago pośrodku wielkiego namiotu, recytując kolejne rozdziały bajki. Jego postać ostro odznaczała się na tle oświetlonego tylko świecami podwyższenia. Kiwał się do siebie tylko znanego rytmu, a z jego ust uciekały kolejne słowa, wzmacniając barierę.

Jeden z kapłanów, towarzyszących Bajarzowi, zwrócił uwagę, że przy wejściu zamajaczyła postać zwiadowcy.

– Tak? – zapytał z głębi purpurowego kaptura, kiedy do niego podszedł.

– Nie wrócili o wyznaczonej porze Dacjan z Jarmirem – Poinformował sucho zwiadowca, rosty mężczyzna o mięśniach jak bochny chleba.

– Dokąd się zapuścili?

– W okolicy Magicznej Fasoli.

– Co? – zapytał z niedowierzaniem kapłan. – Przecież tam nic nie ma. Dawno temu zbadaliśmy to miejsce. – Zamyślił się na chwilę, aby następnie dodać: – Przekaż innym molom książkowym, że mają się trzymać z dala od tych rejonów.

– Wedle rozkazu, kapłanie – służbista kiwnął potwierdzająco głową i odszedł do swych obowiązków.

Kapłan jeszcze przez chwilę stał w milczeniu, patrząc w sobie tylko znanym kierunku. Uśmiechnął się pod nosem i wszedł z powrotem w półmrok namiotu.

Paweł Karolczuk

Rocznik '83, urodzony w Jeleniej Górze, wychowany we Wrocławiu. Z szeroko pojętą fantastyką związany od ponad 20 lat.

Moje zainteresowania zawsze orbitowały wokół fantasy: RPG, gry planszowe i bitewne, komputerowe, karciane. Do tej pory swoją twórczość chowałem do szuflady. Obecnie, od ponad 10, jestem nauczycielem języka angielskiego w jednej z dużych gorzowskich podstawówek. Po zajęciach prowadzę kółko RPG dla swoich uczniów.



Leon Bakalarz

Jeden z wielu uczniów jednego z wielu warszawskich techników. Malarstwem i grafiką interesuję się od dziecka. Dzięki wspaniałym rodzicom było mi dane podziwiać niezliczone zbiory znanych (i mniej znanych) muzeów i galerii. W ten oto sposób jako dzieciak ubzdurałem sobie, że chcę zostać artystą i dalej mi się nie znudziło. Gorzów ma specjalne miejsce w moim nastoletnim sercu. Od najmłodszych lat przynajmniej raz do roku wybieram się z rodziną właśnie do Gorzowa. Kochana babcia zawsze nas ugości, a atmosfera na obrzeżach miasta jest nie do podrobienia. Na koniec pragnę dodać, że Wieprzyce to najlepsze miejsce do czytania – fantastyki oczywiście!

pegazy

Odruchowo przetarł czoło, zostawiając na nim srebrzystą smugę. Zawsze wychodził z rzeźni cały umorusany, ale przecież i tak bierze prysznic przed wyjściem. Westchnął, chwytając kolejną półtuszę, dźwignął ją, powiesił na haku i piłą odciął skrzydło. Zaraz po językach, skrzydełka z pegazów to ulubiony elficki przysmak. Jeszcze tylko trzy.

Dobrze, że rzeźnie pegazów zawsze muszą być takie małe, nie wytrzymałby, zajmując się pixies. Te hodowane są tysiącami w ciasnych klatkach, a praca przy nich przypomina robotę na taśmie w fabryce. Nem wiedział więc, że mógł trafić o wiele gorzej.

Kolejna półtusza przebita hakiem. Jak jego marzenia o ukończeniu studiów z krytalografii – wypuścił mocniej powietrze nosem, śmiejąc się z własnego żartu. Rzeźnia nie jest nawet w połowie tak stresująca jak ciągły wyścig barghestów i bycie nagminnie poniżanym na egzaminach ustnych przez tysiącletnich profesorów.

Złapał kolejne cielsko pod skrzydłem. Przerwał edukację semestr przed otrzymaniem tytułu czeladnika. Wiedział, że może nie przeżyć kolejnego załamania nerwowego i uznał, że woli najbardziej parszywą fuchę niż użeranie się z uniwersytetem. Niestety tylko parszywe fuchy były w stanie zapewnić mu możliwość spłaty kredytu studenckiego, co sprawiło że wieszka właśnie ostatnią półówkę skrzydlatego zwierzęcia na haku i chwytą piłę.

Zdecydowanym ruchem zdjął srebrne od krwi rękawice, podpisał listę ewidencyjną i udał się do stajni. Sprawdzi, czy klaczom starczy wody do rana i może się zbierać. Nie znosił wcześniej wstawać, więc farmę opuszczał zwykle jako ostatni. Uchylił wielkie drzwi i wślizgnął się do

środku. Zamarł, zamykając je za sobą. Jego nozdrza wypełnił zapach fajna. Z wnętrza stajni styczał było cienki głosik, opowiadający o czymś żywiołowo. Ciarki przeszły po całym smukłym ciele Nema. Powoli odwrócił się, ale nie zobaczył w środku nikogo. Ostrożnie rozglądając się, zaczął iść w stronę źródła dźwięku. Wszystkie klacze bacznie go obserwowały. Miał wrażenie, że apatię w ich oczach zastąpiła nienawiść. Gdy doszedł do boksu, z którego dobiegał głosik, zobaczył skuloną w kącie klacz obejmującą coś pozbawionym piór skrzydłem.

– Odsuń się – rozkazał, jednak klacz tylko mocniej wbiła się w róg i parsknęła na niego wrogo. Sięgnął po paralizator przypięty do pasa i powtórzył – Odsuń się!

Klacz, zamiast ustąpić, tylko opuściła głowę i zacisnęła powieki, szykując się na straszny ból. Nem włączył urządzenie i poraził klacz w bok. Zwierzę odruchowo wygięło swoje wielkie ciało, odstawiając trzęsące się ze strachu żrebie.

– Jakim cudem go ukryłaś!? Przecież młode są wam odbierane od razu po porodzie!

– Moje rodzeństwo zabrali... – słysząc żrebie mówiące do niego po elficku, odskoczył z przerażeniem, prawie przewracając się o próg boksu.

– WY UMIECIE MÓWIĆ!?

– Gdzie ich zabraliście? Mama schowała mnie pod słomą, żeby mnie nie zabierali. Mama mówiła, że robicie straszną krzywdę całej naszej rasie... – młody pegaz podniósł głowę i spojrzął w oczy Nema.

– PRZECIEŻ ONA NIE MÓWI!

– Słyszę jej głos, tak jak innych w stodole...

– Rozmawiasz z nimi?

- T-tak...

- Na Złotego Smoka! Jesteście tacy jak my... Dlatego każą obcinać wam języki zaraz po urodzeniu. Żeby się nie wydało. Przecież nikt nie zgodziłby się na masowy mord myślących istot!

Obolała od strzału prądem klacz ciężko podniosła łeb i spojrzała na niego błagalnie.

- Nie mogę go tutaj zostawić, zabiją go - elf ukrył twarz w dłoniach i zamilkł na chwilę. - Zabiorę go do siebie, rano skontaktuję się z mediami. Trzeba to nagłośnić. Wszyscy muszą się o tym dowiedzieć.

Żrebię wtuliło się mocno w matkę i zapłakało. Wiedział, że się żegnają. Dając im chwilę, odwrócił się i rozejrzał po stajni. Pegazy we wszystkich boksach stały przy kratkach, wpatrując się w niego. Nagle zrobiło mu się strasznie niewygodnie we własnym ciele, wcisnął ręce do kieszeni i skulił w sobie. Wiedział, że każdy z nich obarcza go odpowiedzialnością za dalszy los swoich potomków.

Młode, nadal chlipiąc, powoli wstało i podeszło do Nema.

- Czekaj - zdjął swoją kurtkę i zakrył skrzydła zwierzęcia. - Tak na wszelki wypadek. Idź tuż przy moich nogach... Zajmę się nim - dodał, patrząc w mokre oczy klaczy.

Hotel pracowniczy, w którym mieszkał, znajdował się kilkadziesiąt metrów od ogrodzenia farmy. Udało im się nie spotkać nikogo po drodze. Kopyta robiły zbyt dużo hałasu na ceramicznej posadzce, więc elf musiał przenieść zwierzę na łóżko, sam zaś usiadł na pufie obok. Starali się rozmawiać jak najciszej, jednak tekturowe ściany nie sprzyjały prywatności.

- Panie Veneaar, jak dobrze, że nareszcie mam szansę z panem porozmawiać. Co pan pamięta z ostatniego wieczoru?

Nem ledwo przytomny rozejrzał się po pokoju wyłożonym w zgniłozielone kafle. Poczł skórzane pasy krępujące jego

przeguby i kostki. Siedział naprzeciwko niego gładko ogolony mężczyzna, na oko z pięćset lat, ubrany w biały kitel.

- Kim pan jest?

- Pana przyjacielem, pomogę panu wydobrzeć. Jest pan bardzo chory.

- Nie jestem chory! Gdzie jest pegaz!?

- Właśnie w tym rzecz... Widzi pan, dostaliśmy telefon od pana zatroskanych sąsiadów, że rozmawia pan z kimś po nocy. Jednak mieszka pan sam, a rozmawianie samemu ze sobą jest oznaką choroby.

- Wiesz z kim rozmawiałem. Gdzie on jest?

- Ależ nikogo nie ma, radzę panu mi zaufać. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

- Okłamujecie elfy! To jest bestialstwo mordować niewinne, inteligentne istoty!

- Panie Veneaar, praca w rzeźni musiała źle wpłynąć na pana zdrowie psychiczne. Wymyślił pan sobie jakąś teorię spiskową, podczas gdy pegazy nie są w żadnym stopniu mądrzejsze od kamienia leżącego przy drodze. Jeśli będzie pan powtarzał takie rzeczy, możemy uznać pana nie tylko za niepoczytalnego, ale też działającego na szkodę Państwa Elfickiego. Przy okazji, jak się miewa pana matka, Hareth? Słyszałem, że teraz terminy na operację mózgu są bardzo długie. Mam nadzieję, że czas oczekiwania nie wydłuży się bardziej. Proszę powiedzieć, co pamięta pan z wczorajszego wieczora?

- Zamknąłem stajnie, wróciłem do domu i poszedłem spać...

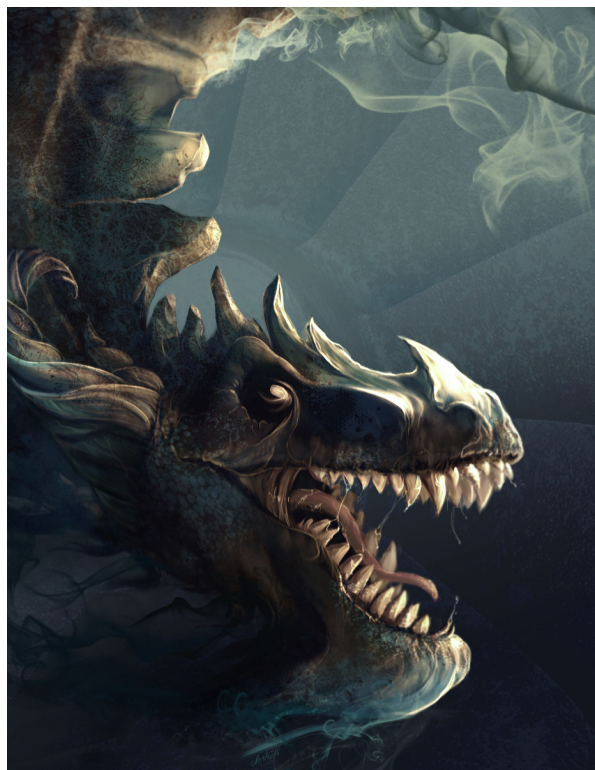
- Widzi pan, to nie było takie trudne. Czyli oficjalnie oświadczają pan, że nie pamięta niczego szczególnego z wczorajszego wieczora?

- Nie pamiętam... - Nem spuścił głowę.

- Wybornie, formalności dopięte. Siostró, proszę zrobić zastrzyk z lotosu.

Hihhi Kalisiak

Nic nie opisuje mnie tak dobrze, jak to, że jestem z Gorzowa i zajmuję się sztuką.



Anna Kowalczevska

Artysta samouk silnie związana ze swoim miastem – Gorzowem Wielkopolskim. Mieszka tu od zawsze i to właśnie grając po gorzowskich piwnicach w gry RPG odkrywała świat fantasy.

Jej główną pasją jest rysunek, który z czasem przekształcił się w malarstwo na płótnie i grafikę komputerową.

Od zawsze chciała ilustrować książki lub projektować okładki. Jest autorką powieści fantasy pod tytułem

„Księgi Wybranych: Tchnienie”.

Adresy stron, na których można znaleźć twórczość Anny:

ksiegiwybranych.pl

facebook.com/annakowalczevska.art

annakowalczevska.deviantart.com

Krótkie opowiadanie o tym, jak to Marszałek do spółki z dygnitarzami snuł sieć intrygi przeciw przyszłemu królowi

Za zamkniętymi drzwiami zamkowej komnaty odbywało się walne posiedzenie. Najwyżsi dostojnicy dworscy zgromadzili się wokół okrągłego stołu, a gdy ostatni z nich zajął miejsce, przewodniczący spotkania stanął na mównicy i przerwał niezręczną ciszę tymi słowami:

– Szlachetni panowie raczą się zapewne domyślać, w jakiej sprawie zwołałem ich na tę tajną naradę.

Zebrani skinęli głowami na znak zrozumienia.

– Jutro w południe, podczas uroczystości koronacyjnej, sejm dopełni dzieła elekcji i książę Niedomir obejmie władzę nad królestwem. Nie muszę chyba uświadamiać panów, jak niepomyślne skutki niesie ze sobą to wydarzenie. Jeśli ten despota zasiądzie na tronie, czeka nas powrót do ciemnych wieków, do samego antyku. Bracia spod jednego godła! – mówiąc te słowa, Marszałek wznosił rękę ku zawieszonej pod sklepieniem tarczy z zieloną żyrafą – jako wartownicy na straży porządku i moralności mamy święty obowiązek nie dopuścić do tego, by nieudolne rządy samozwańczego władcy przywiodły nasze państwo do upadku i zniszczenia. Niedomir to tyran, którego okrucieństwo hańbi dostojność królewską, a niezrówna głupota obraża majestat tego urzędu. Mielibyśmy złożyć hołd poddaństwa wobec kogoś takiego? Z całą stanowczością – nie! Jakże więc powinniśmy postąpić?

– Może wystosujemy do księcia pismo z gorącą prośbą o zrzeczenie się

tronu – wychylił się siedzący w pobliżu Dyplomata.

– Obawiam się, że mógłby nie być wobec niej przychylny.

– A gdybyśmy zebrali wśród dworzan podpisy pod votum nieufności i wręczyli je sejmowi?

– To „działanie” – zaakcentował wyrażnie przewodniczący – również może nie doznać powodzenia. Jestem wdzięczny za twe pomysły, Jaćławie Powściągliwy, jednakże w obliczu tak wielkiego zagrożenia musimy uciec się do bardziej zdecydowanych metod. Śmiem rzec – ostatecznych. *Summa necessitas**!

Słowa marszałka odbijały się echem od wysokich ścian. Potężna sala, udekorowana sztandarami w narodowych barwach, była miejscem, w którym podejmowano najważniejsze decyzje państwowe, jednak nigdy przedtem nie musiała być ona świadkiem dyskusji przeciw królowi. Nastrój konspiracyjności potęgował ponadto panujący w całej sali półmrok, który rozpraszały tylko pęgające w żelaznych lichtarzach płomienie świec.

– Szaleńcze, na Boga! – z końca stołu podniósł się zachrypły głos Kapelana – Czy ty próbujesz wplątać nas w spisek na życie przyszłego władcy?

– Zaiste, bracie! – odrzekł Marszałek – Brzydzę się przelewaniem krwi, lecz wierzę, iż troska o dobro narodu uświęca najgorszą zbrodnię.

– Biada ci zatem! Miecz wymierzony w osobę króla jest zawsze obosieczny.

* łac. stan wyższej konieczności

I drugie ostrze dosięgnie zabójcy!

– Jeśli mam zginać, wypełniwszy służbę dla mego państwa, uczynię to z radością!

– Bóg na wieczność potępi cię za ten grzech!

– Wolę stracić odważną duszę, niż gnuśną zachować!

– Do reszty cię pojebało!

– Pierdol się!

– Bracia! – wtrącił się Dyplomata – spróbujmy zachować spokój.

– Masz słuszność, przyjacielu – rzekł łagodnie Marszałek – Niepotrzebnie psujemy sobie posokę.

– Dostrzegam, iż tve pobudki są szlachetne, Marszałku – ciągnął łagodnym głosem Kapelan – jednakże ja, w przeciwieństwie do ciebie, rozumiem powinność ofiarowanej królowi służby, którą przyrzekłem wypełniać z niezłomną wiarą, gotowością i oddaniem tak długo, jak zachowam zdrowie, a okoliczności pozostaną sprzyjające, do czasu aż dobry Bóg powoła mnie z tego świata do wiecznej służby w Królestwie Niebieskim! – po chwili namysłu dodał – Całkiem zgrabnie mi to wyszło, prawda? Zapisałeś wszystko, Sekretarzu?

– ...służby w Królestwie Niebieskim. Kropka. Tak, co do słowa. – odezwał się siedzący w kącie sali staruszek, który wodząc gęsim piórem po papierze, skrupulatnie kreślił protokół narady, a którego dopiero w tym momencie zauważyli jej uczestnicy.

– Przepraszam, że się wtrączę – rzekł Marszałek – lecz czy w zawiadomieniu nie podkreślałem przypadkiem, że ma to być posiedzenie tajemne?

– Owszem, i takie jest, ale przecież muszę zamieścić jakąś notkę w raporcie dnia, inaczej Biskup potrąci mi z pensji. *Scripta manet***!

W tej chwili do sali weszła uzbrojona w halabardy straż przyboczna z Kapitanem Gwardii na czele. Kapitan

rozsiadł się w wysokim złoconym krześle, stosownym do swego szacownego urzędu, opierając ręce na bogato rzeźbionych poręczach. Strażnicy zaś przycupnęli w kącie na skrzynkach po kapuście.

Korzystający z chwilowego zamieszania Etyk postanowił zabrać głos.

– Zacni dygnitarze, zważcie proszę na słowa mądrości, które tutaj przed wami objawię. Zabicie jednostki dla dobra ogółu jest a... a...

– Amoralne! – dopowiedział żywo Kapelan.

– A... a...

– Adekwatne! – ucieszył się Marszałek.

– A... a...

– Ambivalentne? – spytał nieśmiało Dyplomata.

– A... a...

– Aksjomatyczne? Autorytatywne? Antropocentryczne? Azerbejdżan? – gorączkowo przekrzykiwali się zgromadzeni.

– A... a... psik! Przepraszam jaśniepanów najmocniej. Na czym to ja? A tak, właśnie. Otóż, zabójstwo w dobrej wierze jest a... – w tym momencie Etyk padł trupem na ziemię, przebity szablą Kapitana. Na to zdarzenie wzdrygnęli się nawet okuci w zbroje strażnicy, którzy do tej pory stali na warcie nieruchomo jak posągi.

– Dlaczegoś to, u licha, uczynił? – spytał wzburzony Marszałek.

– Nie przejmujcie się, to było symboliczne zabójstwo – odparł Kapitan, wyjmując zakrwawioną szablę spomiędzy wnętrzości nieboszczyka – Chciałem wam w ten sposób pokazać, że moralne rozważania nie mają tu nic do rzeczy. Jedynie w ogniu walki wykuć można ład i pokój! Zatem na koń i do oręży, mości panowie!

Pomiędzy dygnitarzami rozgorzała dyskusja, która szybko przerodziła się w kłótnię. W końcu porzucono słowa na rzecz pięści.

Gorączkowe okładanie się po dostojnych gębach przerwał dopiero trzask

** łac. to co zostało napisane, pozostaje

otwieranych drzwi. Do sali wkroczył Odźwierny, który od razu zadał w trąbkę, odgrywając pompatyczną fanfarę. Zgromadzeni zastłonili uszy, by uchronić się przed tym pozbawionym artystycznego waloru dworskim rytuałem.

– Pokłońcie się przed jego wysokością, księciem Niedomirem! – stróż zakrzyknął głosem pełnym patosu, a widząc, że nikt z obecnych nie reaguje na jego słowa, dodał ostro:

– Na kolana, kmity!

Wówczas wszyscy jak jeden mąż ukłękli przed obliczem księcia, który w tej samej chwili przekroczył próg komnaty.

– Mój panie! – zawołał podniecony Marszałek – Jakaż to niewypowiedziana radość rozpięra me serce, że Wasza jaśnie wielmożna wysokość raczył zaszczyścić nasze skromne towarzystwo swoją wspaniałą obecnością...

– Daruj sobie te lukrowate uprzejmości, wazeliniarzu. Co tu knujecie, marchy przebrzydłe?

– My właśnie... tego. Spotkaliśmy się tutaj, by współ... tak jakby...

– Zaśpiewać piosenkę! – wtrącił Kapelan.

– Że co? Rozum ci odje... To przecież... Tak! Właśnie tak, piosenkę! Radosną pieśń z okazji Twojej koronacji, o miłości-wie nam wkrótce panujący!

– No to słucham.

– Ale yyy... Najwyższy pan raczy zrozumieć, to miała być taka jakby... niespodzianka.

– Milczeć! – przerwał monarcha – Wydałem wam rozkaz! Zaśpiewajcie mi pieśń na pomyślność mojej władzy, inaczej wtrącę was do lochu, gdzie doznacie najsurowszych mąk!

– O nie, ja mam uczulenie na gluten! – przestraszył się Dyplomata.

Urzednicy spojrzeli po sobie w cichy. W końcu, czując na sobie gniewny wzrok władcy, poczęli wydawać różne dźwięki, które – choć z początku bardzo

chaotyczne – za sprawą jakiegoś magicznego, mentalnego porozumienia, ułożyły się w końcu w piękną, harmonijną melodię. Wówczas Marszałek, czując rosnący przyptyw nadziei, zaczął na oczekaniu śpiewać takie słowa:

*Raduje się dwór, raduje się gmin,
że dziś nowy król zasiada na... tryn...*

Pozostali momentalnie przerwali „grę”. Marszałek okazał się kiepski w improwizowaniu.

– *Cadit quaestio****! – zakrzyknęli wszyscy chórem.

Jerzy Gałpi

Analfabeta-samouk. Za sprawą przewrotnego losu urodził się w Gorzowie. Debiutował w podstawówce na łamach szkolnej gazetki „Aligator”.

Jego ulubionym słowem jest „bigos”, co ciekawe, jest to również jego ulubiona potrawa z kapusty. Nigdy nie był w Danii, ale raz myślał, że był. Ma niewidomego chomika o imieniu Pafnucy.

Poza opowiadaniem pisuje wierszyki, np.:

*Zawsze z oka cieknie łza mi,
gdy mnie ktoś przytrzyma drzwiami...*

*** łac. *sprawa upadła*



Autorka ilustracji: Anna Kowalczevska

Opowieść o gorzowskiej Wandzie

część III

W poprzednich częściach:

W gorzowskich podziemiach zaszyła się Wanda – mityczna księżniczka, która nie chciała Niemca i z żądzy zemsty zabija ludzi mających niemieckie lub niemiecko brzmiące nazwisko. Olgierd Plaski i Igor Schmidt, dwóch detektywów amatorów i poszukiwaczy przygód, stara się powstrzymać Wandę. W akcji pomagają im żołnierze z jednostki w Międzyrzeczu.

Tymczasem do Ernsta Kocha, przewodniczącego Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości, dzwoni sekretarz Eckbert, aby poinformować go, że w Polsce zginął jego brat. Stecki mobilizuje żołnierzy i informuje o tym, że coś zagnieździło się pod Gorzowem. Mają do pokonania prawie sześć kilometrów tuneli, do których nikt nie schodził od czterdziestu lat. W ciemności po ostatnim wystrzale Olgierda następuje cisza...

Dym z luf karabinów unosił się pod sklepieniem i gęstymi kłębam opadał z powrotem ku posadzce.

– Wszyscy cali? – zapytał kapitan Stecki.

– Cali – dobiegło go z przodu.

– Co się u diabła stało? – krzyknął przed siebie.

– Kapitanie! – to był kapral Jan „Niedźwiedź” Migdalski. – Pan tu przyjdzie.

Stecki szybkim krokiem przeszedł kilkanaście metrów dzielących go od czoła pochodu. Gdy dotarł na miejsce, ujrzał coś, co kiedyś mogło być człowiekiem, ale w tej chwili stanowiło poszatkiwany kawałek ociekającego krwią mięsa.

– Co to kurwa jest? – zapytał, czując rosnącą falę poirytowania. – Olgierd!

Mówiłeś, że tu nie będzie nikogo oprócz nas i tej cholernej Wandy!

Plaski zbliżył się do kolegi i spojrzął przez jego ramię na leżący na ziemi zezwłok utyły rudy krwią.

– Cholera! – zaklął. – A więc to prawda.

– Co prawda, co prawda!? – Stecki posiniał z gniewu. – Rozwaliliśmy niewinnego człowieka. Może jakiegoś „bezdomnia-ka”, ale jednak człowieka! Jak ja się z tego, kurwa, wytłumaczę?

– Robert – cicho odrzekł Plaski. – Muszę ci coś powiedzieć. Kilka osób, z którymi rozmawiałem na temat Wandy, powiedziało mi, że posiada ona moc przemieniania ludzi w pewnego rodzaju żywe trupy. Wysysa z nich życie i tworzy z nich swoistą armię strażników broniących do niej dostępu. Myślałem, że to bzdura, ale teraz mam całkowitą pewność. Oprócz Wandy będziemy musieli zmierzyć się z jej strażnikami.

– No to pięknie – Stecki wypuścił głośno powietrze z płuc i zapytał: – Jeszcze jakieś rewelacje?

– Igor! – Plaski zawołał kolegę – Ilu bezdomnych zniknęło w ostatnim czasie z ulic Gorzowa?

– Wszyscy – powiedział Igor, zbliżając się do Plaskiego i Steckiego. Na widok zmasakrowanego ciała leżącego u ich stóp poczuł, jak żołądek podjeżdża mu do gardła.

– Wszyscy, to znaczy ilu?

– Ostatnie liczenie przeprowadzone miesiąc temu wykazało, że na terenie Gorzowa znajduje się 349 osób bezdomnych.

– Matko kochana! – Stecki oparł się o ścianę tunelu i bezradnie opuścił ręce. – Dziesięciu na głowę. Wyłączając was

i biorąc pod uwagę zapas amunicji, którym dysponujemy, mogę śmiało powiedzieć, że jesteśmy w dupie i mamy przesrane!

- To jeszcze nie wszystko - Plaski utkwiał wzrok w podłódze. - Ten, którego załatwili twoi ludzie, był strażnikiem-zwiadowcą. Z tego, co wiem, zwiadowcy stanowią pierwszą, najstabszą linię obrony. Ich zadaniem jest rozpoznanie kto i w jakiej sile narusza spokój Wandy. Dalej będzie tylko gorzej.

Nagle dobiegł ich okrzyk zza pleców.

- Coś się zbliża z kierunku, z którego przyszedliśmy!

Wszystkie wydarzenia mające miejsce tego dnia spowodowały, że Ernst Koch z dużą dawką podekscytowania wsiadał do luksusowego autokaru mającego zawieźć go do Gorzowa Wielkopolskiego. „Czy to możliwe - pytał siebie Koch - że po tylu latach poszukiwań odnaleźliśmy wreszcie to, co pozwoli mi stać się nieśmiertelnym?”. Gdy dwa lata temu jego lekarz prowadzący przedstawił mu diagnozę, Ernst Koch przyjął ją z ogromnym spokojem, choć i nie miałym zaskoczeniem. Cały czas myślał, że przewlekły ból pleców spowodowany jest przez stany reumatyczne. Wszakże w młodości nie oszczędzał się zbyt i noclegi na gołej ziemi pod rozgwieżdzonym niebem stanowiły dla niego codzienność. To musiało wyjść po latach. Jednak nigdy nie spodziewałby się, że spanie na zimnej ziemi i niedbanie o swoje stawy zamiast reumatyzmu przyniesie mu złośliwy nowotwór z przerzutami na kręgosłup. „Jaki ten świat jest dziwny. - westchnął pod nosem - Bandy ci umierają ze starości, ciesząc się dobrym zdrowiem do ostatnich dni. A ja, Przewodniczący ETS, każdej nocy zwijam się z bólu i nie potrafię normalnie funkcjonować bez codziennej dawki morfiny. To takie niesprawiedliwe.”

- Ile czasu zajmie nam podróż? - zapytał kierowcę tonem sugerującym, że

zależy mu na jak najszybszym przybyciu do celu.

- Zgodnie z przepisami jakieś cztery - cztery i pół godziny. Maksymalnie pięć. - odpowiedział kierowca, czując zbliżające się wyzwanie.

- Jedziemy z bardzo ważną misją. Musimy być na miejscu w trzy. - Ernst Koch wydał dyspozycję i usadowił się na najbliższym wolnym miejscu. Uważając, by nikt nie zauważył, wstrzyknął sobie dożylnie dawkę morfiny i ułożywszy się wygodnie na rozkładanym fotelu, oddał się w objęcia Morfeusza.

Odgłos zbliżających się kroków potęgował się z każdą sekundą. Wszyscy zgromadzeni wokół Steckiego i Plaskiego przygotowali gotową do strzału broń i w napięciu oczekiwali pojawienia się przeciwnika. Żołnierze na polecenie Steckiego wyłączyli latarki. Najpierw pojawił się mały punkcik kołyszący się na prawo i lewo. Punkt poruszał się rytmicznie jak wahadło i z każdą chwilą rósł, aż osiągnął rozmiar, który wypełniał całą średnicę tunelu. Żołnierze wycelowali broń w jego stronę, a palce położyli na spustach gotowi bez chwili wahania poszatkować zbliżające się coś brutalnym, śmiercionośnym ogniem z karabinów. Nagle punkt zniknął. Tunel wypełnił się nieprzenikloną ciemnością. Wokół panowała ogłuszająca cisza, która prawie rozsadzała głowy bliskich obłędu, przerażonych żołnierzy. Po chwili jednak stało się coś, co wywołało u oczekujących uczucie skrajnej paranoi. Oto bowiem z ciemności dobiegł ich głos, który z całkowitą pewnością należał do człowieka:

- Kurwa, co za gówno!

Po tych słowach nastąpiła seria uderzeń jakimś twardym przedmiotem, najpierw o otwartą dłoń, a następnie o ceglana ścianę tunelu. Tajemniczy punkt najpierw zaczął migać stroboskopowym światłem, a po chwili znowu zniknął.

Odgłos uderzeń przybrał na sile.

Kapitan Stecki pierwszy wyrwał się z osłupienia i głosem wskazującym na osobę pewną siebie krzyknął w kierunku, z którego wyłonił się punkt:

- Kto idzie? Przedstaw się albo otworzymy do ciebie ogień!

Uderzenia ustały i ustąpiły miejsca klekotowi podrywanej do góry broni. Szczęk zamka i odgłos naboju wprowadzanego do komory rozwiął jego wątpliwości, ale na wszelki wypadek powtórzył pytanie:

- Kto idzie? Cholera, przedstaw się człowieku!

Po dwóch, góra trzech sekundach z ciemności doleciał go męski głos:

- Starszy przodownik Witold Łukomski, Straż Ochrony Kolei z Gorzowa Wielkopolskiego. Przedstaw się albo otworzymy ogień!

Stecki uśmiechnął się pod nosem i odpowiedział:

- Kapitan Robert Stecki, dowódca oddziału specjalnego z 17. wielkopolskiej brygady zmechanizowanej z Międzyrzecza. Skoro uprzejmości mamy za sobą, to może włączyć światło? - i nie czekając na odpowiedź, uruchomił swoją latarkę. Za jego przykładem poszli pozostali żołnierze. Natężenie światła z kilkunastu laterek rozświetliło tunel i zobaczyli trzy postacie, które ruszyły w ich kierunku.

- Spokojnie chłopcy - Stecki zwrócił się do żołnierzy - Nic nam nie grozi. Mam nadzieję.

Żołnierze powoli opuścili broń, jednak (co z niemałym zadowoleniem zauważył Stecki) żaden z nich jej nie zabezpieczył. Po chwili wyrósł przed nimi wielki jak niedźwiedź SOK-ista. Lewa strona jego twarzy była napuchnięta i zaczęła zmieniać kolor na fioletowo-czerwony. Za nim szło dwóch uzbrojonych po zęby mężczyzn. W jednym z nich Plaski rozpoznał prezydenta Świącickiego.

- Panie prezydencie - odezwał się

Plaski - co pan tu robi?

Świącicki podszedł do Olgierda i odpowiedział:

- To jest moje miasto. Nie będę stał z założonymi rękami, podczas gdy jakaś kreatura zabija jego mieszkańców. Bezdomni czy nie, to nadal Gorzowianie. Tych dwóch funkcjonariuszy zaoferowało swoją pomoc w wyeliminowaniu Wandy. Myślę, że dodatkowa broń i amunicja bardzo się przydadzą?

- No jasne - wtrącił się kapitan Stecki. - Tylko żebyśmy nie musieli was pilnować!

- Spokojnie - odpowiedział mu Łukomski. - Potrafimy o siebie zadbać. Panie Plaski - zwrócił się do Olgierda - krótko i treściwie: z czym się możemy zmierzyć?

- No cóż - Olgierd podrapał się po brodzie. - Kilka minut temu wyjaśniałem kapitanowi Steckiemu, że Wanda posiada moc przemieniania ludzi w swoich strażników. Szacując, że część bezdomnych została przez nią pożarta w celu zaspokojenia głodu, możemy przyjąć, że będziemy musieli zmierzyć się z około 300 przemienionymi. Kilkunastu będzie stosunkowo niegroźnych. To zwiadowcy. Później będą wojownicy. Silniejsi, bardziej morderczy. Na końcu będzie straż przyboczna i sama Wanda. Będzie ciężko. Będzie cholernie ciężko.

Łukomski przetrawiał te informacje przez krótką chwilę, po czym rzekł:

- No to się zbierajmy. Nie mam zamiaru stać tu jak pizda i czekać aż ci... wojownicy do nas przyjdą. My przyjdziemy do nich pierwsi.

To powiedziawszy, wyminął Plaskiego i Steckiego i ruszył w stronę szpicy pochodu.

Tymczasem szary autokar z załadowanym za szybę proporcem Borussi Dortmund pędził autostradą w kierunku polskiej granicy.

- Panie Koch, granica!

Marynarka zsunęła się z twarzy Ersta Kocha i Eckbert zobaczył, że z ust przewodniczącego wydobywa się piana.

– Ma zapaść! – krzyknął w kierunku tyłu autokaru. – Jürgen! Szybko, do mnie!

Jürgen Fromm, trzydziestodwuletni podsekretarz stanu, szybkim krokiem przemierzył autokar i znalazł się przy Eckbercie.

– Pomóż mi położyć go na podłodze i unieś mu lekko nogi – Eckbert wydał polecenie.

Razem z Frommem delikatnie położyli Kocha na podłodze i Jürgen uniósł mu nogi. Po chwili Eckbert usłyszał, że Koch słabym głosem coś do niego mówi. Zbliżył się do twarzy przewodniczącego.

– Martin – powiedział Koch ledwo słyszalnym szeptem. – Wanda. Musisz dostarczyć mi substancję pozyskaną z jej serca. Jedź prosto do Gorzowa. Nie zatrzymujcie się nigdzie, nawet na sekundę. Znajdź Grzegorza Deptułę. Powiedz mu: „Mein Heim”. On ci wszystko wyjaśni. Musisz się pośpieszyć. Czasu mamy niewiele – rzekł i stracił przytomność.

Grzegorz Deptuła chodził nerwowo po namiocie, z którego godzinę wcześniej wyszedł jego szef. W ciągu tych 60 minut zdążył wydeptać w ziemi wgłębienie o głębokości kilku centymetrów. Półtora metra obok siedział komendant PSP.

– To nedorzeczne – odezwał się Partyniak do Deptuły. – Zabicie Święcickiego nic nam nie da.

– Przeciwnie – Deptuła zatrzymał się i spojrzał na Partyniaka. – Zabicie Święcickiego przyspieszy wybory prezydenckie, w których wygram i obejmę władzę nad Gorzowem. Za aprobatą ETS oczywiście. To pierwszy krok w mojej drodze do objęcia władzy nad regionem, później województwem, a następnie wprowadzeniu na szczeblu ogólnokrajowym podziału kraju na landy. Pomyśl – oczy załśniły mu niebezpiecznym blaskiem. – Jeżeli udałoby się nam podzielić Polskę na

landy, to moglibyśmy zbudować potężne imperium. Odłączylibyśmy się od Zielonej Góry, której nie chce nawet Dolny Śląsk. Ukształtowanie terenu, bliskość Niemców i zasobność tych ziem pozwoliłyby nam stać się gospodarczą potęgą w tym regionie. Po naszej stronie mamy Ślązaków i Pomorzanie, którzy od lat dążą do autonomii. Niech się wschodnia Polska dusi w swoim smrodzie. Szybko przeciągniemy Wielkopolskę na swoją stronę i utworzymy z tych czterech krain wspaniałe, zasobne księstwo. Na początku oczywiście pod dyktando Niemiec. Ale z czasem, w niedalekiej przyszłości, gospodarczo i militarnie odłączymy się od Germanii i będziemy rośli w siłę. Niepowstrzymaną i niczym niezagrożoną.

– Zapominasz, że jest jeszcze Putin – Partyniak próbował zgasić entuzjazm Deptuły. – On nie pozwoli, żeby pod nosem wyrósł mu potencjalny oponent.

– Władkiem się nie przejmuję – wesoło zbył tę sugestię Deptuły. – Damy mu Polskę wschodnią na pożarcie. Tam i tak nie ma nic więcej poza polami i równinami. Przewodniczący ETS zapewnił mnie, że posiada informację na temat kompletnej i skutecznej broni opracowanej przez hitlerowców pod sam koniec II wojny światowej. Było już za późno, żeby naziści jej użyli, dlatego ukryli ją na terenach Dolnego Śląska. Niestety wszyscy, którzy wiedzieli o jej położeniu, albo zostali zamęczeni przez NKWD, albo zmarli, nie wyjawiając tajemnicy nikomu innemu. Ernst Koch jest ostatnią żyjącą osobą, która wie, gdzie ta broń się znajduje i jak jej używać.

– Co to za broń? – spytał komendant PSP – I co potrafi?

– Tego nie wiem. Ale Koch już tu będzie i na pewno niedługo wszystkiego się dowiemy.

– Żebyśmy tylko nie wyszli na tym jak Zabłocki na mydle – prychnął Partyniak, wierząc się na krześle. – Za taki zamach stanu grozi nam dożywocie. Jeżeli

dożyjemy procesu. Niemcy mogą nas wykorzystać do odzyskania tej cudownej broni, a później wszystkiego się wyprzeć, pozostawiając nas jako kozły ofiarne.

– O to się nie martw, drogi Zenku. O to się nie martw. Mamy najmniejszego asa w rękawie. Nawet Ernst Koch nie spodziewa się, że możemy odebrać mu wszystko jednym posunięciem.

Witold Łukomski bawił się selektorem ognia, przełączając bezpiecznik z ognia pojedynczego na ciągły i z powrotem. Pstrykanie było tak nieznośne w otaczającej ich ciszy, że Stecki w końcu nie wytrzymał i szorstko warknął na SOK-istę.

– Musisz tym klekotać, do jasnej cholery? Człowiek myśli nie może zebrać.

– Sorki – zmieszał się Łukomski.
– To przez tę nerwową atmosferę.

– Nerwową – prychnął Igor, podchodząc do rozmawiających. – Ona nie jest nerwowa. Jest kurewsko nerwowa. Zaraz zesmarzę się w gacie z tych nerwów. Ile jeszcze? – zwrócił się do Plaskiego.

– Jesteśmy na drugim poziomie – odpowiedział Olgierd. – Za kilkadziesiąt metrów powinniśmy dotrzeć do zejścia na poziom trzeci. To jedyny znany mi dostęp do tego poziomu, więc spodziewam się, że będzie zabezpieczony. Z pewnością nie przez zwiadowców tylko coś bardziej krwiożerczego. Jeżeli uda nam się zejść na poziom trzeci, to zostanie nam do pokonania jakieś czterysta do pięciuset metrów korytarzy, aż dotrzemy do sali, w której znajduje się Wanda.

– Świetnie – zachnął się Igor. – Powiedz mi tylko, geniuszu, dlaczego teraz schodzimy poziom po poziomie, a nad Wartą zeszliliśmy bezpośrednio na poziom trzeci?

– To proste – włączył się do rozmowy Robert Gniewocha. – Nad Wartą szliście korytarzem ewakuacyjnym, który miał za zadanie umożliwić wydostanie się z podziemi w jak najkrótszym czasie. Taki był zamiar budowniczych, żeby można było opuścić poziom trzeci w przypadku, gdyby

zagrożenie, w tym przypadku Rosjanie, dostałoby się do tuneli od strony wieży ciśnień. Szliby tunelami, z pewnością zaminiowanymi, co zajęłoby im bardzo dużo czasu. Czasu, w którym przebywający w podziemiach Niemcy mogliby uciec. W latach czterdziestych tereny nad Wartą wyglądały inaczej niż teraz. Zapewne w okolicy wyjścia stała zacumowana barka, którą można się było ewakuować do Kostrzyna.

– Skąd wiesz, że to był tunel ewakuacyjny z poziomu trzeciego? – przerwał mu Igor.

– Kilka razy schodziliśmy na poziom trzeci, szukając bezdomnych, którzy kradli nam miedziane i aluminiowe przewody. Ale jeszcze nigdy nie zapuszczaliśmy się na inne poziomy. My w SOK-u wiemy o wejściu do podziemi spod wieży ciśnień. Znamy teren, na którym pracujemy. Kilku z nas hobbystycznie zajmuje się eksploracją gorzowskich podziemi. Ale tu jeszcze nigdy nie byliśmy. Interesujemy się historią fortyfikacji na tych ziemiach.

– A wiesz coś o Santoku? – Igor wy-czuł, że nadarza mu się szansa uzyskania kilku cennych dla niego informacji.

– Niewiele – odpowiedział Gniewocha. – Rzekomo książę Przemysł I miał ukryć swój skarb gdzieś na tym terenie. Trzeci poziom to kilkanaście tuneli i komnat utworzonych w czasach jego panowania. To sporo naturalnych grot skalnych, które zostały ze sobą połączone. Niektórzy twierdzą, że w jednej z nich znajduje się skarb Przemysła I-go wraz z rękawicą Ottona III-go, ale według mnie to bajka. Gdyby taki skarb znajdował się w tych podziemiach, bezdomni już by go znaleźli. A nikt nie słyszał o jakimś bezdomnym, który w tych okolicach nagle stał się bogaczem.

Igor chciał jeszcze zadać kilka pytań, ale dochodzący z przodu głos jednego ze zwiadowców przerwał tę rozmowę.

– Kapitanie, jesteśmy trzydzieści metrów przed zejściem na poziom trzeci.

Przed nami duża liczba obiektów o zwiększonej temperaturze. Czekamy na rozkazy.

- Let's rock and roll - odpowiedział Stecki, przeładowując broń. Igor Schmidt zbladł jak ściana.

- Poczekaj - zastopował go Plaski. - Mam pewien pomysł, który pozwoli nam oszczędzić amunicję. I ludzi.

- Słucham uważnie - Stecki odwrócił się do Olgierda i spojrzał mu w oczy. - Wszystko, co pozwoli mi na uratowanie moich ludzi, jest dla mnie ważne.

- Macie „sraczkę”?

- Ja mam - Igor niepewnie zwrócił się do Olgierda. - Od ostatniej strzelaniny czuję, że moje spodnie zrobił się kilka kilogramów cięższe.

- Mamy - odparł Stecki, ignorując Schmidta. - Olo, co ty kombinujesz?

- Dziesięć metrów za nami była spora komnata z kilkoma większymi wnękami. Gdyby udało się nam rozmieścić ładunki przy wejściu do niej, to kilku twoich najszybszych żołnierzy mogłoby ściągnąć na siebie uwagę strażników, wyprowadzić ich przez komnatę, uciec przez właz na poziom pierwszy, a my zdetonowalibyśmy ładunki, zawalając wejście do komnaty i odcinając strażników w tunelu.

- Ryzykowne - zamyślił się Stecki - ale teoretycznie skuteczne.

- Tylko muszą szybko biegać - upomniał go Olgierd.

- O to się nie martw. Mam kilku niezłych sprinterów. Zaczniemy zakładać ładunki, a ja zorganizuję grupę ucieczkową.

Odwrócił się do żołnierzy i w krótkim czasie wyselekcjonował czterech jego zdaniem najbardziej odpowiednich ludzi.

- Waszym zadaniem - powiedział do nich - będzie zbliżenie się do tych stworzeń przy zejściu na poziom trzeci, zrobienie hałasu, a następnie jak najszybsze spierdalanie do wyjścia na poziom pierwszy i zatrzaśnięcie za sobą włazu tak skutecznie, jak to tylko możliwe. Jakież pytania?

- Zaliczy mi pan egzamin z wf-u? - żartobliwie zapytał jeden z żołnierzy.

- Idź, bo jak cię... - Stecki uśmiechnął się, przyjmując to za brak pytań.

- A więc do dzieła! Olo - krzyknął do Plaskiego - Jesteśmy gotowi.

Olgierd Plaski kończył montowanie ostatniego ładunku pod sklepieniem wejścia do komnaty, kiedy usłyszał głos Steckiego.

- Panowie - zwrócił się do reszty ludzi, którzy zajmowali się razem z nim zaminowywaniem wejścia do komnaty. - Schowajcie się we wnękach i zasłońcie uszy. Z doświadczenia wiem, że to będzie niezemskie pierdolnięcie.

- Tak jest - odpowiedzieli mu żołnierze i czym prędzej zajęli miejsca we wnękach komnaty.

- Robert! - krzyknął Plaski w głąb ciemnego korytarza. - Wszystko na swoim miejscu. Dawaj ich.


- No, panowie - odezwał się Stecki do czterech sprinterów. - Z pieśnią na ustach!

Ciąg dalszy nastąpi

Poprzednie części „Wandy” znajdziecie w numerach 2/2018 i 2(4)/2019 oraz na stronie www.landsbergon.pl

Jakub Łukasik

Gorzowianin, absolwent Wyższej Szkoły Bezpieczeństwa z siedzibą w Poznaniu, miłośnik historii, muzyki heavy metalowej i dobrej kuchni. W wolnych chwilach trenuje Aikido i eksperymentuje kulinarnie.



Ostatnia Tawerna



Twoje fantastyczne miejsce w sieci!
www.ostatniatawerna.pl



GORZÓW WIELKOPOLSKI

Projekt jest dofinansowany przez miasto Gorzów Wlkp.

Wspiera nas:



GORZÓW

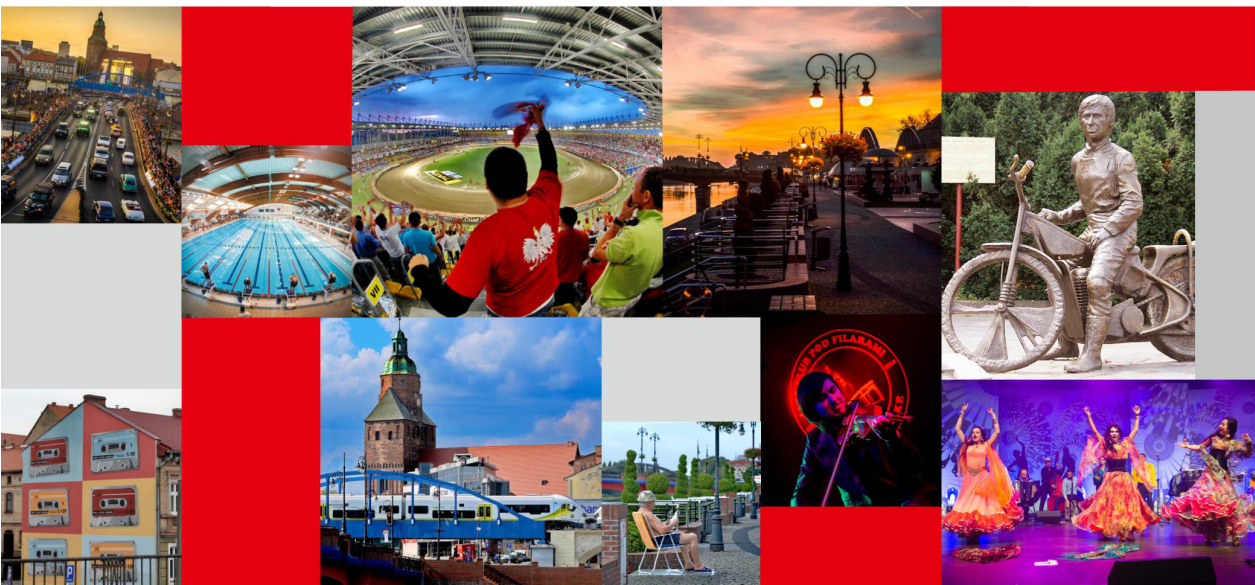
#StądJestem

 przystan

www.gorzow.pl

 www.GORZOW.pl

 [gorzow_przystan](https://www.instagram.com/gorzow_przystan)



Redakcja i wydawca:

Stowarzyszenie na rzecz Innowacji Społecznych NOVUM

ul. Gwiaździsta 12/88 Gorzów Wlkp.

e-mail: landsbergon@gmail.com, Tel. 669-847-078

Mariusz Sobkowiak – red. naczelny

Kamil Kwiatkowski – zastępca red. naczelnego

Redaktorzy merytoryczni: Sebastian Górny, Piotr Jakubowski

Aleksandra Sobkowiak – sekretarz redakcji

(autorka logotypu LandsbergON)

Karol Wojdyło – korekta

Grafika na okładce: Anna Kowalczevska

Skład: Hihi Kalisiak

Druk: drukarniaonline.pl Edward Świrkowicz

Wydanie: Gorzów Wlkp., 01.12.2020 r.

Numer ISSN 2657-5280, www.landsbergon.pl